

ANIA SZADO

Studio
Saint-
Exupéry

Kulisy powstania Małego Księcia!

Inspirujący trójkąt miłosny genialnego pisarza



I

Nawet nie wzięłam książki. Rzadko jakąś biorę na lot do Montrealu, tak krótki, że w zasadzie nie mam szans doczytać strony, żeby jakaś bezceremonialna stewardesa nie przerwała mi aktualizacją komendy „Proszę zapiąć pasy” lub „Można rozpiąć pasy” albo próbą napchania mnie kolejną kanapką. Czekając przy bramce, robię to co zawsze na JFK: przyglądam się rzece starannie ogolonych biznesmenów, nastolatek w sukienkach o linii A albo w nowych dzinsach dzwonach, bogatych pań z torbami podróznymi z najnowszych kolekcji, rozdrażnionych ojców, nadludzko cierpliwych żon z rozmazanym makijażem, wlekących za sobą marudne dzieci.

Dzisiaj fala pasażerów – niczym deszczowe chmury – nabrzmiała i utknęła. Bramka jest zatłoczona i zatkana. Obok mnie siedzą bliźniacy chrupiący cukierki Now and Later. Lot nr 108 Pan Am jest opóźniony, panie i panowie. I opóźniony. I z przykrością informujemy, że lot jest jeszcze bardziej opóźniony. Z powodu warunków atmosferycznych – jakby warunki atmosferyczne były jakąś nowością. Szkoda, że nie z powodu chmur.

Można by już chyba coś na to zaradzić. W końcu człowiek pokonuje przestworza od dawna, zaczął, jeszcze zanim się urodziłam. Nawet Antoine nie był pionierem, a pierwszy samotny lot odbył w 1921 roku. Może to on tam w górze ciska z nieba potoki.

Deszcz pada na asfalt niemal bokiem i ślizga się po nim, przeskakując sam siebie w pośpiechu, by przemienić terminal w jednostkę pływającą. Szperam w torbie. Gdy to robię, zwraca na

nią uwagę przechodząca szykowna kobieta odziana w balenciagę. Tak, panienko, mam torebkę od Mignonne NYC. Podobnie jak sukienkę i kapelusz – ale buty nie, buty mam od Beth Levine.

Gdy mnie rozpoznaje, widać leciutkie wahanie w jej ruchach, po czym idzie dalej, rytmicznym krokiem zdradzającym zadowolenie z siebie. Dziękuję, panienko, tak, owszem, to ja, Mignonne Lachapelle.

To równie miłe, jak krępujące. Żeby ukryć tradycyjny rumieniec, wyciągam broszurę wystawy światowej Expo 67. Matka bliźniaków zauważa broszurę, gdy sięga, by przyszpilić chłopców do krzesła.

- *Man and His World* – czyta nazwę wystawy z niesmakiem.
- *Mężczyzna i jego świat*. Nie do wiary, w dzisiejszych czasach?!
 - To wina tłumaczenia... – zaczynam, ale ona kontynuuje:
 - Czekam na dzień, gdy odbędzie się wystawa *Świat kobiety*.
- Wpycha młodszego chłopca na miejsce z większą siłą, niż tego wymaga jego wiercenie się. – Albo jeszcze lepiej, na świat o nazwie Świat Kobiety.

Nawet Antoine zaciąłby się na tłumaczeniu *Terre des hommes*^{*}, tytułu swojej powieści, która zdobyła Grand Prix du Roman we Francji i National Book Award tutaj. *Mężczyzna i jego świat*? Nie jestem pewna, czy on sam kiedykolwiek wysuwał roszczenia do Ziemi. Mawiał, że nie zamieszkujemy planety, tylko pożyczamy ją od dzieci.

Nie naszych dzieci. Nie mieliśmy dzieci – oprócz tego, co zrobiliśmy.

Podobno wszystko krąży, jest pożyczane, kradzione, honorowane, uwielbiane, wykorzystywane. Te mody – i polityka, i piosenki tłoczone w uszy małych dzieci – leżą uśpione, aż nadejdzie właściwy moment. Nic nie może umrzeć? Uchowaj Boże,

^{*} *Terres des hommes (Ziemia, planeta ludzi)* – tytuł powieści Antoine'a de Saint-Exupéry'ego. W języku francuskim *homme* oznacza zarówno człowieka, jak i mężczyznę. Podobnie jak w angielskim słowo *man* [przyp. tłum.].

by wskrzeszono niektóre z moich pierwszych prac. Nie wiedzieliśmy, ile mamy szczęścia, że ominął nas jakiś większy szum w tamtych gorączkowych dniach – kiedy parłam śmiało przed siebie niczym krocząca dumnie amazonka (wisząca na biodrze torebka z frędzlami podciągnęła minisukienkę, odsłaniając mięsień uda). Albo ile mieliśmy szczęścia, że amerykańska prasa moda była równie młoda i naiwna jak my. Albo jak ja. Bez pojęcia o mężczyznach, naiwna.

Będę tu siedzieć i czekać na lot, ponieważ w Montrealu czeka na mnie matka. Podobnie jak Star Pilot, moja kolekcja retrospektywna na Expo. Jutro, jeśli niebiosa przestaną płakać, wygłoszę pogadankę w pawilonie Stanów Zjednoczonych. *Inspiracja i Antoine* – tak zamierzam ją zatytułować. Ale na razie napisałam tylko ten tytuł i ani słowa więcej. W pracowni jest tyle roboty. Nie miałam chwili dla siebie, czasu do namysłu.

Palce postukują niecierpliwie, nienawykłe do takiej beczynośności. Wyciągam notes i ulubiony długopis od Cartiera.

Układam notes na kolanach i wpatruję się w strużki spływające po szybach. Wiją się, schodzą, rozdzielają. Jak węże zdobione cekinami. To strumienie, brzeg morza, wyścigówki, plwocina, rury, linia telefoniczna, spadające samoloty, spadające gwiazdy. No i oczywistość: krople deszczu, łzy.

Za szybą krąży nieustraszona jaskółka, skręca ostro na krawędzi, którą widzi tylko ona, i wraca, by wyryć wstępną trajektorię, mierząc szerokość ściany deszczu, haftując rozłożony kupon satyny.

Powiedzmy, że pisze historię: o kwiecie róży, małym księciu, o Antoinie i o mnie.

W kwietniu 1942 roku wróciłam do Nowego Jorku. Nie do mieszkania, w którym wcześniej mieszkałam z tatą, mamą i Leem, ale po prostu do miasta po roku spędzonym w Montrealu. Wróciłam, by podbić Garment District, dzielnicę mody, gdzie wszystko było na miejscu: pracownie projektowe i show-roomy, tkaniny, pasmanteria, kuśnierze, modystki, sklepy sprzedające wyposażenie do handlu, pachacze ciągnący stojaki zawieszane rozkołysanymi kreacjami, rampy załadunkowe zdradzające charakter firm zajmujących wyższe kondygnacje. I New York Fashion School. Gdy mijałam budynek, ten wyciągał po mnie swe mosiężne poręcze.

Alma mater. Rocznik 1941. Próbowałam przywołać z pamięci tamtą wiarę w swoje siły. Minął rok, odkąd zaprezentowałam końcowe portfolio profesor Vérze Fiche, a ona na moim dziele nie zostawiła suchej nitki. Jej wystąpienie było przekonujące. Wzięłam je sobie głęboko do serca, czego na pewno bym nie zrobiła, gdyby przedstawiła równie żarliwą pochwałę. Głęboko to mną wstrząsnęło. Do tamtej chwili byłam pełna nadziei. Miałam dwadzieścia jeden lat.

Zdenerwowany student wbiegł po schodach i dalej do środka, zapewne śpieszył się, by przejść ciężką próbę nad własnym portfolio. Wolalabym być na jego miejscu, niż robić to, co zamierzalam.

Poszłam dalej, odruchowo źle skręciłam, zanim pogodziłam się z faktem, że do pracowni madame muszę się udać w drugą

stronę. Dlaczego miałyby wynajmować lokal tak blisko rzeki Hudson, skoro już kilka przecznic dalej znalazłaby się w centrum dzielnicy? Tu – pośród handlarzy sprzedających na ulicy regały, prasowalnice i zakurzone manekiny – nie było siedzib obiecujących projektantów, a Atelier Fiche to podobno dom mody, którego karierę warto śledzić. W szkole plotkowano, że zanim madame zaczęła uczyć w NYFS, miała kilka pokazów, które przeszły całkowicie bez echa. Ale jeśli nawet te nieznaczące i nieodnotowane kolekcje istniały, zostały unicestwione: „Women’s Wear Daily” uznało kolekcję madame ze stycznia 1942 roku za znakomity „debiut”. W wieku pięćdziesięciu lat projektant nie był żadnym debiutantem. Niemniej jednak estetyka Véry Fiche, a tym samym moja, została zauważona. Amerykańska prasa modowa, zmuszona do tworzenia wszelkiego rodzaju doniesień na skutek próżni powstałej po Paryżu – odkąd Francję pokonali naziści – zaczęła się skupiać na propozycjach rodzimych projektantów. Jeśli przemysł mody chciał przetrwać, nie miał wyboru. Podejrzałam, że prasa ciągnie zapałki albo cierpi na urojenia, skoro zajęła się tą właśnie projektantką.

Tak czy owak, namaścili Atelier Fiche, choć tylko jednoszpaltową wzmianką i niewyraźną fotografią. Jeśli madame jeszcze nie znalazła bardziej atrakcyjnie umiejscowionej pracowni albo należycie imponującego salonu, niewątpliwie uczyni to, gdy na koniec roku akademickiego uwolni się od obowiązków dydaktycznych. Potem, oczywiście, na dobre zrezygnuje z nauczania. W pełni zdawałam sobie sprawę, że walka o zmianę statusu z twórcą początkującego na twórcę uznanego pochłonie ją bez reszty. Byłam zdecydowana sama też się do czegoś takiego zobowiązać.

Kilka przecznic od Millinery District, pod numerem 315 na West 39th, jakby w nierozważnej solidarności z madame Fiche, swój sklep założyła modystka. W jej witrynie prezentowały się miniaturowe męskie kapelusze, takie, co to w tej wojennej dobie damy przypinały na szczycie upiętych włosów i nawiniętych

pukli – modny, żartobliwy akcent, który jednocześnie oddawał cześć mężczyznom noszącym pełnowymiarowe odpowiedniki, jak i ich umniejszał. Były tam dziesięciocentymetrowe cylindry wyglądające jak wytworne czarne korki, meloniki wielkości liżanki, maleńkie czapki o cerskie z optymistycznym V jak Victory połyskującym z otoku. Beret wielkości placka zdobiło pawie pióro z wielkim okiem. Jego rzęsy drżały, gdy na mnie patrzyło.

Z metalowych, lekko cofniętych drzwi obok witryny łuszczyła się zielona farba, odsłaniając starsze i bledsze warstwy. Otworzyłam je, ciągnąc ku sobie, i niskimi schodami dostałam się do holu, nie dotykając poręczy – farba była aż czarna od brudu. W windzie zamknęłam za sobą żaluzjowe drzwi i modliłam się o szybki wjazd i jeszcze szybszy powrót na ziemię. Klatka zadygotała i ruszyła.

Na górze, tam gdzie miała się znajdować pracownia madame, zniknęły ściany z cegły i ponurego tynku, a pojawiły się mroczne kąty i przejścia. Zza zamkniętych drzwi dobiegało wycie jakichś urządzeń, zagłuszając skrzywienie podłogi. Ciężki, oleisty zapach z każdym krokiem przybierał na sile. Pomyślałam, że madame na pewno nie przyprowadza tu klientów. Ale zgodnie z tym, co wypisano ręcznie czarnym atramentem na złotej wizytówce z eleganckimi ozdobnikami w rogach, tu znajdowała się jej pracownia – Atelier Fiche. Klasyczna i urządzona z należytą starannością – jak można by się spodziewać. W NYFS madame słynęła jako fanatyczka ręcznie wykańczanych detali, kunsztownych haftów i drogich złocień, dopasowanych garniturów i przyzwoitych sukien o długich prostych spódnicach. Swoje preferencje narzucała z niezłomną wolą. Przez cały rok nie zdołałam się jej przeciwstawić. Jakim cudem wyobraziłam sobie, że teraz dam radę to zrobić?

– Spokojnie, Mig – powiedział rano mój brat Leo. – Wiesz, na czym polega twój problem? Ciągłe ci się zdaje, że Fiche jest twoją nauczycielką. A tymczasem teraz jest złodziejką i oszustką. A ty

ją zaskakujesz. Ona ci otwiera drzwi. Łup: walisz bez ogródek. Mówisz, czego chcesz. I dobrze. Ona wisi ci sławę.

– Chcę tylko przeprosin.

– Chcesz gotówkę do ręki. I część z jej zysków, teraz i na wieki wieków. Pomyśl o przyszłości. I przyszłej sprzedaży.

Ale jakiej sprzedaży mogła oczekiwać madame? Odkąd zaprojektowałam kolekcję, kraj się zmienił. W jednej chwili Stany Zjednoczone deklarowały nieangażowanie się w działania zbrojne, w następnej wypowiedzieliśmy wojnę. Cztery miesiące później wciąż szykowaliśmy się do mobilizacji, ale byłam pewna, że niedługo Amerykanie będą walczyli na froncie europejskim. Kto będzie wtedy nosił tak ekstrawaganckie stroje?

Powiedziałam Leowi o nowych restrykcjach materiałowych. Próbowałam wyjaśnić, że pod patriotyczną presją trudniej będzie stworzyć kolekcję madame.

– Przejściowe trudności – odparł. – W każdej chwili Roosevelt może podnieść swój paluszek i wysłać naszych chłopców do boju. Bum! Hitler robi w gacie i z rykiem ucieka do domu. A stara Fiche wraca do sprzedawania dowolnie drogich ciuchów. – Wymierzył we mnie papierosa. – Musisz o siebie zadbać. Ucz się ode mnie. Kiedy budowałam maszyny do popcornu, wszyscy wiedzieli, że szef obraca sekretarkę. I dobrze mu z tym było, a mnie jeszcze lepiej. Wykombinowałam, że mam szansę, że facet mnie awansuje, zamiast wyrzucić na ulicę.

– Szantażowałeś go?

– Spytałem tylko, czy jego żona chciałaby zobaczyć interesujące zdjęcia.

– Blefowałeś.

– Nic nie tracił, dając mi lepszą pracę. Wierz mi, ludzie dużo zrobią, żeby ratować swoją reputację. Zapamiętaj to, Miggy. Ta pani ma dużo do stracenia. Bez ciebie nie osiągnęłaby nic.

Gdyby Leo widział ten korytarz, pomyślałam, gdy już miałam zapukać do drzwi pracowni, pewnie by się zastanowił, czy aby madame Fiche rzeczywiście coś osiągnęła. Może jednak projekty,

które skopiowała z moich rysunków, nie zapewniły Atelier Fiche sukcesu, wbrew temu, co przeczytałam w magazynie, który Matka pożyczyła z siedziby Pomocniczej Służby Kobiet w Montrealu: „Debiutancka kolekcja na wysokim poziomie [...]. Wykluszy się z kokonu NYFS, profesor madame Véra Fiche daje manhattańskiej socjocie [...]”.

Artykuł w „Women’s Wear” wprowadził mnie w osłupienie. Oznaczał, że mogłam osiągnąć sukces. Ale nie mogłam być dumna, że moje projekty zostały zauważone. Nie mogłam się złościć, że to madame Fiche przypadło uznanie. Źle się stało, że wykorzyststała moje pomysły i wystawiła jako własne, ale i źle się stało, że tę kolekcję uznano za zadowalającą, a wręcz wyjątkową.

Od madame chciałam teraz tylko tyle, by pozwoliła mi osobiście zobaczyć Motylową Kolekcję, zanim o niej zapomnę i zostawię ją za sobą. Jeśli to prawda, że mam talent, znajdę sposób, by na dobre uczynić modę swoją siłą.

Zapukałam. Pracownia musiała być ogromna: słaby z początku odgłos zdecydowanych kroków po kilku chwilach przybrał na sile, nim drzwi się otworzyły. W oczach madame Fiche dostrzegłam krótki błysk emocji.

Wciąż miała to samo gładkie czoło z całkowicie wyskubanymi brwiami i tę samą surową fryzurę: czarne włosy – z paroma nowymi siwymi pasmami – ściągnięte ciasno w nieskazitelny kok. Jej chude przedramiona były pobrudzone kredą i wilgotne; doleciał od nich mocny, czysty zapach gipsu modelarskiego. Nosiła taką jak zwykle szytą na miarę czarną sukienkę, ale na nią, zamiast spiętego paskiem żakietu, włożyła płócienny fartuch z niebielonej bawełny.

– Przeszkadzasz mi w pracy – oznajmiła tonem jeszcze bardziej wyniosłym niż zwykle.

Ścisnęłam mocno ręce, żeby się nie trzęsły. Gdybym tylko to samo mogła zrobić ze swoim głosem.

– Jestem Mignonne Lachapelle.

– *Oui.*

– Przyszłam w sprawie motyli. Tej kolekcji. Moich projektów. Przyjrzała mi się uważnie, z zaciśniętymi ustami, aż poczułam w brzuchu taki ciężar, że omal nie dostałam torsji.

– *Entrez.*

Weszłam.

To była pracownia madame? Spodziewałam się przestrzeni ograniczonej i kontrolowanej, a nie niedbałego bezmiaru, niechlujnego niczym łąka w swojej rozległości, swoim blasku, przypadkowym kwitnieniu. Z zapchanych stojaków wyciekały stroje, ścieśnione po dwa czy trzy na wieszaku, inne zarzucone były na poprzeczki. Zwoje tkanin – opasłe bele i smętne resztki – piętrzyły się na podłodze niczym barwne półmiski, każdy z innej bajki. Do biegnących wysoko w górę ścian i do rur przymocowano długie, pozwijane płachty szarego papieru wypełnione rysunkami węglem albo kredą. Z niektórych zwisały srebrne pasma pajęczyn. Na stole skąpanym w naturalnym świetle leżała ogromna gra ka. Światło słoneczne padało na złotą podłogę. Weszłam w nie.

Tyle przestrzeni. Tyle światła. Odetchnęłam nim.

W domu rodzinnym Lachapelle’ów, w którym teraz mieszkała moja matka, przyzwyczaiałam się do wysokich su tów, a także do pagórkowatych horyzontów ledwie tkniętych obecnością budynków. Kiedy przed dwoma tygodniami wysiadłam na Grand Central Station i opuściłam dworzec, natychmiast poczułam się o połowę niższa (a wtedy, dwadzieścia pięć lat temu, mierzyłam metr siedemdziesiąt pięć). Nowojorskie niebo nie skłaniało się w naturalny horyzont, lecz tkwiło nad dachami wysokimi na milę jak czapka w oddali. Leo szedł przy mnie niezgnieciony z moją walizką na ramieniu. Mieszkaliśmy w jego małej suterenie, a pracownia madame roztaczała się wokół mnie, otwarta jak brzeg morza, szeroka i promieniejąca ciepłym blaskiem.

Zapragnęłam jej.

Zaprowadziła mnie w głąb pracowni, do miejsca, gdzie stało kilka krzeseł, stolik i sofa.

– Siadaj – powiedziała, a sama poszła dalej, do stołu roboczego za sofą, gdzie czekały wiadra i przewody. – Robię nowy manekin.

Kiwnęła głową w stronę trzech bezgłowych korpusów, które stały na posterunkach pod ścianą okien. Były to kobiece manekiny do przymierzania strojów, przy czym jeden ukradziony z NYFS.

– Z gipsu?

– Próbuję z gipsu. Próbuję z *papier-mâché*.

Wróciła do swoich zajęć. Oddzierała paski papieru, zanurzała je w wiadrze i szukała dla nich idealnego miejsca na pokrytym już częściowo szkielecie. Leo powiedział, że mam poczekać, aż madame uczyni pierwszy krok, ale można by odnieść wrażenie, że ona w ogóle zapomniała o mojej obecności.

Zakasłałam. Madame zerknęła z uśmiechem – o wiele bardziej niepokojącym niż jej spojrzenie spode łba – i w milczeniu wróciła do swojego zadania. Obróciła pancierz i oglądała go uważnie.

– Madame. Myślę... w zasadzie wiem, że ukradła pani moje projekty. Inspirowane motylami pomysły, które przedłożyłam jako swoje roczne portfolio. Widziałam zdjęcie w „Women’s Wear Daily”.

Z chłapinięciem umieściła pasek mokrego papieru na gorsie manekina.

– Idiotka ze mnie, co?

Serce mi podskoczyło.

– Przyznaje się pani?

– Przyznaję. Żałuję.

W najlepszym razie oczekiwałam niechętnego uznania jakiegoś ułamka twórczego długu. Ale gładkiego przyznania się do winy – od najbardziej nieugiętej kobiety, jaką w życiu poznałam! – w żadnym wypadku. Coś tu się nie zgadzało. To na pewno nie koniec.

Nie wiedziałam, co powiedzieć.

– To, co pani zrobiła, jest złe – podjęłam.

– Złe? – Pochyliła się nad wiadrzem na podłodze, by spryskać wodą ręce, po czym z zapalem wytarła je ręcznikiem, nim obeszła sofę i przysiadła w fotelu naprzeciwko mnie. – To idiotyczne. *Stupidie*. Wyobrażasz sobie, ile włożyłam w tę kolekcję? Całe miesiące ciężkiej pracy. I w imię czego? – Niedbałym gestem wiotkiej ręki wskazała coś za moimi plecami. – W imię tego. – W jej głosie słychać było wzgardę.

Skóra w kącikach jej oczu się zmarszczyła: była zadowolona albo ubawiona. To samo się działo, gdy grzmiała na moje rysunki. Głosem pełnym obrzydzenia odrzuciła moją pracę jako nieprzemysłaną, amatorską, brzydką, marnowanie papieru, nie na czasie – ale na jej policzkach widziałam jasność. Tamtego dnia, podobnie jak dziś, w jej oczach widziałam osobliwy żar.

Czekała, aż podążę za jej wskazówką, aż spojrzę. Rozmyślałam o tej chwili od tygodni: kiedy zobaczę i dotknę swojego dzieła – jej dzieła – hybrydy powołanej do życia z moich rysunków ręką madame. Wstałam i zanim się odwróciłam, musiałam przytrzymać się fotela.

Wysoko na ceglanej ścianie wisiał nadzwyczajny strój. Był jeszcze bardziej dramatyczny, niż sobie wyobrażałam, gdy w swoich szkicownikach opracowywałam jego projekt, o wiele bardziej uderzający i wyraźny, niż to oddała czarno-biała fotografia w magazynie. Madame uszyła suknię z grubego jedwabnego aksamitu. U dołu była asymetryczna – z przodu nieco krótsza, a z tyłu z zebranej talii spływał powłóczysty tren. Ciemne, wyszywane koralikami kwiaty połyskiwały subtelnie na aksamitnej powierzchni spódnicy, ciemnej, granatowej, prawie czarnej. W górnej części sukni na takim samym aksamitnym tle pysznił się okazały motyl z koralików, cekinów, srebrnego sznurka i satynowych wypustek. Zajmował cały przód, przepajając go rubinową czerwienią, ołosem i ciemną zielenią. Spiczasty dekolt obramowany był czułkami, które zbiegały się do marszczonoj centralnej wstawki wyznaczającej ciało owada. Kimonowe rękawy spływały swobodnie z wieszaka. Podeszłam podnieść

jeden z nich. Cały trójkąt pokrywały płynne linie paciorków i haftu.

– Jeśli już zamierzała pani skopiować czyjaś pracę – powiedziałam – nie rozumiem, dlaczego wybrała pani moją. I to z tej kolekcji. Jak w ogóle mogła pani to pokazać? Jakim cudem uznała pani, że to się nadaje do pokazania? Ona jest niestosowna.

– W dzisiejszych czasach ludzie muszą na chwilę zapomnieć się w luksusie, nie sądzisz?

W Montrealu dominowała moda prosta, prozaiczna, powściągliwa. Nie obrażała nikogo swoją wzdargą dla trudnych czasów. Nie robiło mi się od niej niedobrze. Mężczyźni ginęli, całe rodziny głodowały, a madame mówiła o luksusie.

– W Kanadzie nikt by czegoś takiego nie nosił. Powinna pani zobaczyć, jak ludzie tam oszczędzają.

– Jesteś ekspertem – rzuciła madame drwiącym głosem. – Wraz z dzielnymi Kanadyjkami dokonywałaś wyrzeczeń. Biedactwo. A ja tu siedziałam po łokcie w cekinach i aksamicie, głupio próbując zarabiać na życie, bezwstydnie najadając się do syta. Zauważ, że apetyt to delikatna sprawa. Łatwo zawodzi, gdy na przykład człowiek nie zna losu swojej rodziny.

Mówiła o sobie. Oczywiście – madame Fiche miała krewnych we Francji. Nie pomyślałam o tym.

Z kieszeni spódnicy wyciągnęła zegarek i zapięła go na nadgarstku, po czym energicznie potrząsnęła ręką, by umieścić go na właściwym miejscu.

– Gdyby kolekcja była niestosowna, jak uważasz, przeszłaby niezauważona. Ty byś nie była ani trochę mądrzejsza, tylko ja bym poniosła koszt podjętych wysiłków. Ale kolekcja odniosła sukces. *Alors*, wszystko idzie swoim torem. Przyszłaś domagać się mojej skruchy. Zgadzam się nająć cię jako moją asystentkę. Będziemy dalej współpracować ku rosnącej chwale Atelier Fiche.

– Słucham?!

– Są gorsze rozwiązania. Dla nas obu.

– Pani chce mnie zatrudnić? – To nie wchodziło w grę. Nie mogłam pracować z kobietą, która ukradła moje projekty. Ale wzrokiem mimowolnie omiotłam tęsknie pracownię. Aż znowu spojrzałam na suknię i poczułam, że płonę.

– We Francji – podjęła madame – strój staje się często oznaką oporu. Kiedy mężczyźni wysłano na front, ich żony ubrały się w czysty jedwab. I tak należy robić, nawet jeśli Brytyjczycy czy twoi ukochani Kanadyjczycy tego nie rozumieją. Francuzki owijały się całymi metrami jedwabiu, żeby *les Boches* nie mogli go złupić i wywieźć dla swoich żon. Rozumiesz? Dlatego uznałam, że kolekcja jest genialna. Dlatego nie zrezygnowałam z projektu, kiedy Roosevelt wypowiedział wojnę. Mylisz się co do mody wojennej, Mignonne: najznakomitsze stroje rozmyślnie są ekstrawaganckie, nie mają w sobie nic z nudnego stylu nakazanego przez urzędasów tego kraju.

Opor, ekstrawagancki duch: to madame zobaczyła, kiedy oglądała moje projekty? Swego czasu, przed Montrealem, broniłam roli mody w świecie pogrążonym w wojnie. Spierałam się o jej wagę z Antoine'em. Może miałam wtedy rację. Może madame miała rację. Próbowalam sobie wyobrazić Francuzki noszące motylowe suknie. Buta tego pomysłu przyprawiła mnie o dreszcz wstydu – ale lepiej sobie tę suknię wyobrazić na aroganckich paryżankach niż na Amerykankach zbyt przesiąkniętych wolnością, by ograniczać to, co wrzucają na grzbiet.

– Wyższe sfery w Ameryce – powiedziała madame – zawsze podążały za estetyką paryżan, nie za Anglią z jej bezbarwnymi workami. Kiedy przyniosłaś swoje rysunki i zobaczyłam te motyle, pomyślałam, że odkryłam motyw, który pochwycił ducha Ameryki: dumę i wolność. Pomyślałam, że przez wszystkie lata nauczania nie widziałam, żeby ktoś tak oddał *l'esprit de l'époque*.

– Naprawdę?

– To był mój pierwszy błąd. Pozwoliłam, żeby pożądanie uczyniło mnie ślepą na prawdę. Pozwoliłam sobie zapomnieć, że nie jesteś prawdziwą Amerykanką.

– Ależ jestem! – Urodziłam się i wychowałam w Nowym Jorku. Tylko tata był Francuzem; wyemigrował do Montrealu z rodzicami i bratem, a potem bracia, już jako młodzi mężczyźni, przenieśli się do Nowego Jorku. Najpierw Yannick, by sprawdzić rynek ze swoją lokalnie wychwalaną *haute cuisine*, potem mój ojciec, by zrobić karierę jako architekt, w czym towarzyszyła mu świeżo poślubiona kanadyjska żona.

– Dziecko Émile’a Lachapelle’a w głębi serca może być tylko Francuzem. Nic dziwnego, że nie masz pojęcia, czego chcą Amerykanie. Ja też nie mam pojęcia, już nie. Spodziewałam się, że wojna przemieni amerykańskie kobiety w rajskie ptaki, a nie nudne, pokonane brązowe kwoki w rodzaju Brytyjek czy Kandyjek.

Ale Kanadyjczycy nie byli pokonani – w każdym razie nie anglofońscy sąsiedzi mojej matki ani frankofońscy przyjaciele, z którymi pijałam w Starym Montrealu. Po dwuipółrocznym poświęceniu Kanadyjczycy nadal wierzyli w sprawę, która nakręcała wojnę i zabrała ich synów. Pośród nich w końcu pozwoliłam sobie na żałobę po ojcu, a przez ostatni rok szkoły dusiłam smutek, by zaimponować ludziom pokroju Véry Fiche. Cała Kanada zdawała się rozumieć i podzielać moją żałobę. Dowody na to miałam wszędzie dokoła: w „Gazette” szczegóły rzezi na przyczółku na plaży; na dworcu, gdzie jednego dnia roіło się od mundurów, a następnego nie dało się uświadczyć choćby jednego mężczyzny; w zaczerwienionych oczach posypanej mąką żony piekarza; w powadze, z którą matka wieczorem stroiła radio. Canadian Broadcasting Corporation dostarczała wiadomości z zegarmistrzowską precyzją, ale sygnał piszczał z bólu, w trzaskach słyszałyśmy utratę.

Tamtej wiosny wróciłam na Manhattan, czując dumę z ojczyzny („Ameryka przystąpiła do wojny!”), i zastałam mnóstwo wojskowych punktów werbunkowych rozpychających się jak uliczni sprzedawcy o miejsce na rogu. Częściowe zaciemnienie miasta zarządzono tak niedawno, że nowojorczyki wciąż wspominali o romantycznej odmianie. Zupełnie jakby do miasta dotarło

dawno wyczekiwane przedstawienie. W mieście nie obowiązywało całkowite zaciemnienie, ale Bloomingdale sprzedawał ozdobne ciemne rolety dla tych, którzy zgodnie z panującą modą starali się być nadgorliwi. Neon na Broadwayu zastąpiono szyldami z metalowych cekinów, które migotały kusząco w dostępnym świetle, przy najbliższym powiewie przyciągając spojrzenia. Targowiska wciąż oferowały pełen wachlarz produktów – pod plakatami, które nawoływały do umiarkowania – i pomimo poboru po ulicach wciąż chodziło mnóstwo młodych mężczyzn. Owszem, wysyłailiśmy ładunki suszonych jaj i mleka w proszku, dostarczaliśmy mnóstwo amunicji, budowaliśmy okręty, ale dlaczego Roosevelt jeszcze nie wystawił naszych żołnierzy przeciwko Niemcom? Trzydzieści jeden miesięcy po inwazji Hitlera na Polskę amerykańskie oddziały ciągle czekały na przerzucenie do Europy.

Madame mogła mówić, co się jej żywnie podobało. Dla tych, którzy walczyli za morzem, motylowa suknia mogła być tylko afrontem. Była piękna w sposób gorzej niż brzydki.

– Nie dostaniesz lepszej propozycji – powiedziała, gdy sięgałam po torebkę. – Nie masz portfolio. I przez cały rok marnowałam swoje szanse. Pomyśl o tym, Mignonne.

Nie miałam zamiaru o tym myśleć. Bałam się swojej decyzji.

Haute couture francuskiej emigracji w Nowym Jorku lat czterdziestych!

Trwa wojna. Zagubiony wśród francuskich emigrantów jak Mały Książę na pustyni
Antoine de Saint-Exupéry – opętany miłością do dwóch kobiet: swojej Róży,
latynoskiej zmysłowej piękności, i młodej projektantki mody Mignonne
– pisze jedną z najpopularniejszych książek wszech czasów.

Studio Saint-Ex to przejmująca historia o zagmatwanej miłości, wielkich
namiętnościach i równie wielkich, choć rozbieżnych ambicjach pary sławnych
i bogatych arystokratów – pilota, pisarza i poety Antoine'a i jego żony Consuelo
– zauroczonych dziewczyną, która nie ma niczego poza talentem. To utkana
jak olśniewające projekty młodziutkiej Mignonne – z najlepszych materiałów,
z dbałością o detale – mądra i piękna alegoria o życiu i twórczości pisarza,
który zawładnął wyobraźnią ludzi na całym świecie dzięki swej ostatniej książce
– bajce dla dzieci o bardzo nieamerykańskim,
ale jakże życiowym zakończeniu.

W 2013 roku Jego *Mały Książę* kończy sto lat...

PATRONAT MEDIACYJNY

BOOKLIPS.PL IIII

www.marginesy.com.pl



9 788363 656768

cena 39,90 zł